

Milczenie orłów

10 stycznia 2014

Zaostrzająca się retoryka i usztywnienia polityki imigracyjnej rządu Davida Camerona obnażają słabość polonijnego środowiska dziennikarskiego. Nasze niskie kompetencje intelektualne i językowe nie pozwalają nam na partycypowanie w brytyjskiej debacie publicznej.

Zgodnie z przewidywaniami rok 2013 zakończył się polityczną kanonadą antyimigracyjnych fajerwerków. David Cameron, któremu pali się grunt pod nogami, podpalił przygotowywany od co najmniej dwóch lat emigracyjny lont. Iskrą, która doprowadziła do zapłonu, było otwarcie brytyjskiego rynku pracy dla mieszkańców Bułgarii i Rumunii. Odłamkiem oberwali także Polacy. Ta noworoczna polityczna pirotechnika Camerona wywołała protesty w Warszawie. Trochę za późno. Antyemigracyjne wystrzały rządu konserwatystów i liberałów trwały w najlepsze już wcześniej. Jednak wówczas nie zaprzataliśmy sobie nimi głowy, udając, że nie słyszymy żadnych huków. W końcu petardy wymierzone były w innych.

Kiedy Cameron ciskał gromy w politykę multikulturalizmu, w Unię Europejską, w emigrantów przebywających w Wielkiej Brytanii nielegalnie, w Rumunów i Bułgarów, większość z nas patrzyła na to z boku. Często nawet przyklaskując ksenofobicznej polityce brytyjskiej prawicy, zbieżnej z poglądami polskiego społeczeństwa i polonijnych środowisk. Udawaliśmy, że te ksenofobiczne fajerwerki Londynu nas nie dotyczą, i chodziliśmy w glorii „tych dobrych emigrantów”. Ciężko pracujących, integrujących się z brytyjskim społeczeństwem, dzielających wyspiarskie wartości. Naiwnie sądziliśmy, że tak jak widzimy siebie samych, postrzega nas brytyjski establishment. Kiedy kilka tygodni temu pisałem w tekście „Kampania listopadowa”, że „to my, Polacy, a nie tak chętnie krytykowani i dyskredytowani przez nas muzułmanie, jesteśmy polityczną i społeczną bombą, którą rządzący

bezsukutecznie próbują rozbroić, przekierowując falę społecznego niezadowolenia na innych", byłem w tych diagnozach odosobniony, a od czytelników posypały się gromy. Noworoczne fajerwerki odpalone przez 10 Downing Street potwierdziły jednak tę smutną tezę i przy okazji obnażyły słabość polonijnego środowiska dziennikarskiego, które brytyjską polityką prawie zupełnie się nie zajmuje.

Dla uważnych obserwatorów brytyjskiej sceny politycznej słowa Davida Camerona wygłoszone w Izbie Gmin, a potem powtórzone w wywiadach i na konferencjach prasowych są naturalnym i logicznym rozwinięciem retoryki napędzającej ten rząd. Słabnący w sondażach, atakowany przez prawe skrzydło swojej partii, naciskany przez Nigela Farage'a i konserwatywną, prawicową prasę Cameron wsiadł na antyemigracyjny konia i galopuje w kierunku wyznaczonym przez publicystykę „Daily Mail”. Z czysto socjotechnicznego punktu widzenia to słuszny kierunek. Bezrobocie i obniżający się standard życia pod każdą szerokością geograficzną i polityczną sprzyjają populistycznym programom prawicy.

Cameron piecze na tym populistycznym ogniu kilka politycznych pieczeń. Po pierwsze, zwraca uwagę na Partię Pracy, zrzucając na nią odpowiedzialność za przedwczesne otwarcie brytyjskich granic dla Polaków w 2004 r. „Karygodne niedopełnienie obowiązków” dobrze brzmi dla przerażonego kryzysem brytyjskiego ucha. Po drugie, sztucznie kreując „problem emigracji”, premier odwraca uwagę od katastrofalnej polityki gospodarczej własnego rządu. Ekonomia, tabelki, wzrosty i spadki są o wiele trudniejsze do zrozumienia niż proste antyemigracyjne slogany. Po trzecie wreszcie, mając świadomość, że absurdalne pomysły brytyjskiej minister spraw wewnętrznych Theresy May nie mają szans wejść w życie i zostaną zastopowane przez Unię Europejską, Cameron kanalizuje frustrację brytyjskiego społeczeństwa w kierunku Brukseli.

Atakując emigrantów, spełnia odwieczne, polityczne marzenia prawicy. Punktuje Labour i Europę, a neoliberalna polityka

gospodarcza będąca źródłem kryzysu pozostaje bez zmian. Bo przecież konserwatystom nie chodzi o skuteczność polityki w rozwiązywaniu realnych problemów, ale o politykę skuteczną w omijaniu problemów i zarządzaniu negatywnymi emocjami. To o wiele łatwiejsze niż mozolna, żmudna, efektywna, ale medialnie mało efektowna praca rządu. A gra toczy się o wysoką stawkę. Obejmując stery Partii Konserwatywnej, David Cameron jawił się jako prawicowa odpowiedź na Tony'ego Blaira. Minimalne zwycięstwo z poobijanym, niesympatycznym Gordonem Brownem miało być początkiem długoletnich rządów brytyjskiej prawicy. Ed Miliband, który zastąpił zmęczonego kanclerza na stanowisku przewodniczącego Partii Pracy, słabo wypadający w mediach i niebudzący społecznego zaufania dla brylującego w telewizji Camerona wydawał się łatwym przeciwnikiem. Tymczasem wiele wskazuje na to, że zamiast politycznej dominacji konserwatystów skończy się na jednej kadencji. I do tego w koalicji z Liberalnymi Demokratami.

Mimo wszystko jednak ta antyemigracyjna retoryka torysów, która nie spotyka się z większym oporem, jest niepokojąca. Tworzy ciężki, ksenofobiczny klimat. Antagonizuje różne grupy społeczne. Napędza antyemigracyjne nastroje. I tutaj powinniśmy się uderzyć we własne piersi. Polonijne środowisko w Wielkiej Brytanii, chociaż liczne, młode, dobrze wykształcone i podobno energiczne, kompletnie nie uczestniczy w brytyjskiej debacie publicznej. Mimo że w niemal każdym brytyjskim mieście powstają polskie gazety i portale informacyjne, polonijni dziennikarze i publicyści w kwestii brytyjskiej polityki milczą. Tutaj spotyka się młoda i stara emigracja. Bez względu na metryki, poglądy polityczne, doświadczenie i emigracyjny staż łączy nas powszechna ignorancja i brak jakiegokolwiek wpływu na główny nurt brytyjskich mediów. Liczba polonijnych gazet nie przechodzi w jakość. Polonijne media są jak przysłowiowy „komentarz na Onecie”: kiepskie. Na początku, gdy ruszyła wielka fala emigracji, wykonywały świetną robotę, informując o podstawowych rzeczach. Jak znaleźć pracę, do którego urzędu

się udać, jak zaaplikować o zasiłek itp. Dziś, kiedy Polacy nieco się zaaklimatyzowali, ustabilizowali swoją sytuację zawodową, materialną i społeczną, stając się pełnoprawnymi aktorami brytyjskiego życia zbiorowego, ta forma się wyczerpała. Polonijne media nie mogą już być tylko poradnikami. Starają się znaleźć nową, inną formułę, ale to im nie za bardzo wychodzi, głównie ze względu na to, że zespoły redakcyjne tygodników liczą zaledwie kilka osób. A małe redakcje nie są fizycznie w stanie produkować wartościowych treści. Posiłkują się więc często przypadkowymi naturszczykami i grafomanami, gotowymi pisać za mityczne „wypromowanie nazwiska”. W efekcie panuje totalna, obezwładniająca amatorszczyzna. Nie tylko artykuły pisane są w koszmarny sposób, ale również ich wartość merytoryczna i intelektualna jest zatrważająco niska. Dodatkowo polskie media w UK przejmują najgorsze wzorce „portalozów” i tabloidów, z których zresztą czerpią pełnymi garściami, przedrukując najbardziej bzdurne i absurdałne treści. Reportaż nie istnieje. Publicystyka jest kulawa. Debat o procesach społeczno-politycznych w Wielkiej Brytanii nie ma.

To wszystko powoduje, że nikt z nas nie może przejść na wyższy poziom. Bo jak napisać tekst do „Timesa” albo „Guardiana”, skoro nawet polski język sprawia nam trudności? Do tego jeszcze jesteśmy intelektualnie leniwi. Bariery językowe można przecież obejść, posiłkując się od czasu do czasu tłumaczami. Intelektualne braki już nie bardzo. A smutna prawda jest taka, że nie mamy nic ciekawego do powiedzenia. Nie tylko dlatego, że polonijna prasa zdominowana jest przez konserwatystów. Gorzej, że ten rządzący niepodzielnie polonijny konserwatyzm jest prostacki. Te myślowe kalki Maxa Kolonki, Korwina-Mikkego i Ziembkiewicza rozpalają wyobraźnię w Polsce, ale nie w Wielkiej Brytanii, w której myśl konserwatywna poszła dalej. Nasi prawicowcy produkują banały z lat 50. zeszłego wieku, które nawet z konserwatywnej brytyjskiej perspektywy są archaiczne.

Symptomatyczne wreszcie, że wśród polonijnych dziennikarzy niewielu pracuje jednocześnie jako korespondenci dla największych polskich tygodników i dzienników. Nie publikujemy w „Polityce”, „Newsweeku”, „Gazecie Wyborczej”. To także dowód na naszą niekompetencję i ignorancję w kwestii brytyjskiej debaty publicznej. Większość redaktorów naczelnych polonijnych pism woli proste teksty o Polakach i Polsce niż o meandrach wyspiarskiej polityki. Bo lepiej się sprzedają i generują komentarze. Przez długi czas nie było to problemem, ale dziś widać, że na dłuższą metę to groźna sytuacja. Atak Camerona na emigrantów powinien nam uświadomić, że już na poważnie uczestniczymy w brytyjskim życiu społeczno-politycznym. A żeby funkcjonować tutaj świadomie i aktywnie, nasi czytelnicy powinni być wyposażeni chociaż w podstawowe kulturowe i społeczne kompetencje. Dla polonijnego środowiska dziennikarskiego retoryka brytyjskiego rządu powinna zaś być dzwonkiem alarmowym, gdyż bez stałej obecności naszych publicystów w wyspiarskich mediach głównego nurtu nie ma szans na kształtowanie brytyjskiej debaty publicznej. Pozostają głupawe manifestacje, napuszone listy i pompatyczne odezwy pisane post factum, których efekt jest żaden.

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)